FIKCYJNA PRAWDA

INOVIS

**H**ej ty tam! Wstawaj, tunele same się nie zrobią!

Słyszałem to prawie codziennie, odkąd los skazał nas wszystkich na życie pod ziemią. Każdy, kto był zdrowy, pracował nad wykopaniem nowych przejść w kanałach, w których przyszło nam mieszkać. Ludzkość została zmuszona na zejście pod powierzchnię Ziemi, przez panującą klątwę u góry. Mroczne zaklęcie podobno rzucił w złości Arcymag Yling, na zmarłego Wielkiego Króla Azazela i malowniczą wyspę, którą władał. Piękne Inovis spowiła wieczna ciemność. Nikt nie wie, o co dokładnie poszło, nikt nie wie jak zdjąć klątwę, przez którą co druga osoba zamieniała się w krwiożercze ‘’bestie’’- piszę to tak, ponieważ myślę, że mimo wszystko to nadal byli nasi przyjaciele. Gdzieś tam w środku. Z początku nikt nic nie zauważył. Przeszła przez świat – albo tylko i wyłącznie przez naszą wyspę - jedynie dziwnie niepokojąca fala chłodu. Wyglądało to jakby po prostu miała nadejść długa burza, ale w ciągu tygodnia zaczęła się pojawiać seria dziwnych morderstw, którym towarzyszyła coraz to gęstsza mgła utrzymująca się za dnia. Napady działy się tylko coraz dłuższymi nocami, mimo panującego lata. Byłem wtedy adeptem kształcącym się na Księdza, który miał za zadanie bronić mieszkańców przed wszelkim złem, mieszkającym w pobliskich Górach Skrzeczych i Lesie Ciszy. Miałem już zdawać test, dzięki któremu zdobyłbym ten tytuł, ale oczy wszystkich zwróciły się w jednej chwili na zamek Wielkiego Króla, okazało się, że wraz z jego śmiercią Inovis pogrążyło się we wiecznej nocy, która sprzyjała aktywacji ‘’Tego Czegoś’’ w ludziach. Nikt nie zobaczył już więcej Matki Słońca. Ojciec Księżyc zamknął przed nami bramę do niej. ‘’Bestie’’, które tkwiły w niektórych szybko się pojawiały w tym samym czasie, mordy zaczęły się niespodziewanie szybko, ludzie wpadali w szał, zabijali swoich najbliższych zaślepieni rządzą krwi. Nic już nas nie broniło. Uciekliśmy w szczelnie zamknięte kanały pod królestwem, które niegdyś wybudowali Ci, Którzy byli przed nami.  
Tutaj jesteśmy bezpieczni, kryjemy się od dwóch lat, czasami wysyłając śmiałków po niezbędne do życia rzeczy i aby poznać trochę bardziej naturę tych dziwnych istot. Okazuje się, że ‘’bestie’’ nie mają na tyle rozumu, by szukać włazów do nas lub czekać przy nich aż wyjdziemy. Władzę po Wielkim Królu przejęła Starszyzna zwana przez nas 4 Jeźdźcami Apokalipsy. Niby mają za zadanie chronić wszystkich i sprawić abyśmy mogli wrócić do naszych domów… ale coś mi mówi, że nie są wcale tacy dobrzy. Ich rycerze – Cerbery poniżają tych, którzy nie mieli wystarczająco dużo pieniędzy, aby dać łapówkę Starszyźnie na ciepłe lokum, przy ich ogromnej, wykutej w skale twierdzy, podtrzymującej sklepienie. Na dodatek, coś im nieśpiesznie do wyzbycia się plagi. Jakby było im na rękę siedzenie tu na dole… a przecież nie ma w tym nic dobrego. Często brakuje żywności – takiej normalnej, a nie byle korzonki wyrastające w ścianach, gdzie piękne zdobione kafelki odpadły po tylu wiekach leżenia bezużytecznie w pustych kanałach.

Powinienem się przedstawić już na samym początku, ale jestem nadzwyczaj amatorski w prowadzeniu dziennika. Nie miejcie mi tego za złe, to mój pierwszy raz i uznałem, że sprawa, która jest tutaj problemem powinna zostać pokazana od razu. Wracając: nazywam się Lilith Amey, a oto mój dziennik, w którym chciałbym spisać tę dziwną historię, gdyby przyszło mi zginąć. Pragnę pozbyć się klątwy i zbadać jej początki. Dobrze jest znać autora swojej lektury. Zacznę, więc od podstaw – charakterystyka zewnętrzna.

Nie wiem po kim odziedziczyłem wzrost, bo rodziców zbytnio nie pamiętam, ale liczę sobie 2,15 metra wysokości. Medyk, któremu przyszło mnie badać, na przyjęciu do Zakonu, uznał mnie za idealny cel dla zbirów. Kto by nie zauważył takiego wielkoluda, w dodatku albinosa? Całe szczęście, sylwetkę mam jak u szpaka, ale tylko z powodu szczudłowatych nóg. Mimo wyglądu jak chuchro, jestem bardzo zwinny i silny. Swoją niefortunną widoczność jak chodząca tarcza do strzelania z łuku nadrabiam zwinnością i sprytem. Dlatego też przeszedłem egzamin sprawnościowy bez trudu. Mój przyjaciel Eduardo, kucharzyna nad którym przyszło mi mieszkać w schowku na miotły, powiedział, że przez wilcze ślepia nic nie mówiąc, mogę wycisnąć prawdę z każdego. Faktycznie wyglądam z twarzy dość groźnie. Prawe oko mam miodowe, rozcięte pionową blizną idącą od połowy czoła, do połowy policzka – również nie pamiętam skąd ją mam. Drugie zaś zabarwił mi Ojciec Mróz na intensywny lazur. Wzrok mordercy towarzyszy mi od dziecka. Nic dziwnego, ze ludzie boją się do mnie podejść. Pozory jednak mylą – wcale nie jestem taki zły, na jakiego wyglądam. Jestem bardzo potulnym olbrzymem liczącym sobie zaledwie 19 zim. Chyba. Tutaj na dole trudno stwierdzić, jaka jest pora roku ale, Starszyzna pilnuje tak sobie czasu. Mam nadzieję, że wiedzą, co robią. W przeciwnym razie, nie mógłbym złożyć przysięgi na Księdza. Trzeba być wtedy pełnoletnim. Uważam siebie, za dość dojrzałego mężczyznę. W oczach wielu ludzi jestem młodym staruszkiem. To wina białych jak mleko włosów, sięgających do pasa – nie mam serca ich ścinać, noszę je dumnie całe swoje krótkie życie – podobno na dzikim lądzie, gdzieś na wschód od nas, leży kraj, gdzie im dłuższe włosy, tym większym szacunkiem darzy się wojownika, ponieważ ścinali oni swoje warkocze za każdym razem, gdy przegrali walkę. Ciekawe, co by powiedzieli o mnie – wprawdzie nie walczyłem jeszcze tak na serio, ale oni wcale nie muszą tego wiedzieć. Łatwiej przyjdzie mi zdobyć tytuł Bohatera dzięki tej inności pod każdym względem. Marzę o tym od dziecka.

Zawsze chciałem być tym, który zmieni świat na lepsze. Być jak podziw*i*ani przez wszystkich Księża, nieustraszeni, walczący za pomocą mistycznej broni, którą sami sobie wykuwają w wielkich piecach i wpajają w nią magię albo przywołując do walki mistyczne stworzenia z różnych światów. Księdzem mógł zostać osobnik muśnięty przez Matkę Talentu, czyli ten, który potrafił zawładnąć nad mocą żywiołów i nauczyć się czarować, jednak nie tylko magia jest tutaj ważna, ale i umiejętności alchemiczne – eliksiry, maści, łączenie ze sobą ziół tak, aby były lecznicze lub trujące, no i oczywiście znajomość wszelkich istotnych schematów magicznych, umiejętność tworzenia zwojów, które na krótki czas pozwalały przejąć naprawdę potężne golemy i inne tego typu istoty magiczne. Jeżeli chodzi o magię. Nie chwaląc się, umiem już co nieco. Kiedy miałem 8 lat, kichnięciem potrafiłem spalić szopę dziada Ernesta, który za każdym razem krzyczał na mnie, gdy przypadkiem podpaliłem coś więcej niż jego marne budowle ze spróchniałego drewna. Całe szczęście nikomu nie zrobiłem krzywdy. No chyba, że biednej głowie dziadunia, przez nerwy, które ze mną miał, wyłysiał zupełnie. Pamiętam, gdy za każdym razem, grzebień zabierał mu garstkę lichych włosków. Kiedy został mu szary kłębek na środku głowy, przestał używać grzebienia, ale w końcu i tak włosy wypadły same. Wiem, byłem łobuzem jakich mało, ale zmądrzałem i w późniejszych latach zawsze pomagałem mu w gospodarstwie – dzięki niemu było co włożyć do gara. Mieszkaliśmy trochę daleko od tych wiosek przy zamku, w przytulnej chatce, wybudowanej najpierw w połowie przez pradziadka Teryzjusza, a potem dokończonej przez dziadka Ernesta i mojego ojca Baara. Chatka ogrodzona była kamiennym murkiem, po którym biegałem z młodszym bratem Diavolo – ciekawe, czy dom jeszcze istnieje i gdzie może się podziewać mój drogi braciszek. Dziadek mówił, że Dia odziedziczył urodę po matce - Bloody, miał bardzo delikatne, wręcz kobiece rysy twarzy. Ja za to jestem kropka w kropkę po ojcu, ale w wersji wybielonej, jakby przez sypiącą się z młyna mąkę. Dziad tłumaczył nam – to jest mi i braciszkowi -, że mama zmarła przy drugim porodzie w lesie, gdy podróżowała z tatą. Po moich narodzinach wyjechali w poszukiwaniu czegoś, ale nigdy nie dowiedziałem się, co było tak ważne, że zostawili niemowlaka dziadkowi. Tata wrócił z wyprawy sam - niczego nie pamiętam, bo oczywiście byłem za mały, aby to tak szczegółowo pamiętać - wszystko opowiadał dziadek.

Został z naszą trójką na rok, aby Dia miał poczucie posiadania chociaż ojca, obiecał, że wróci na dłużej, ale to nie miało miejsca. Tata przynależał do Straży Czyścicieli przy wschodnim murze, przy którym rozciągał się Las Ciszy odgrodzony od nas cienką, ale rwącą rzeką Arradis. Pewnego wieczoru, został zmuszony do zejścia na zwiady w lesie, gdzie podobno miało miejsce zaginięcie wozu z żywnością jadącą do Wielkiego Króla z Gór Szczerbatych. Zabrał ze sobą najbardziej zaufanych ludzi i ruszył na rozwikłanie zagadki. Miało tam miejsce dziwne zjawisko. Ślady wozu urwały się na środku drogi - jakby się ulotnił. Tata znalazł tylko strzępek ubrania zapewne woźnicy na drzewie obok zanikającego tropu. Wilk, z którym wyruszyli, pobiegł za zapachem kierowcy, z którym został zapoznany. Okazało się, że zaginiony wóz wisiał na wielkim drzewie, kogo by to nie zaskoczyło? Wyglądało na to, że to była sprawa tutejszych olbrzymów, zapewne jeden z nich oddalił się od jaskiń, w których zamieszkiwały i widząc człowieka, rzucił jego wozem w dal, a konie ciągnące powóz zabrał na obiad. Po woźnicy ani śladu. Trzeba było go znaleźć, jak i sprawcę. Grupa Księży rozdzieliła się, ojciec poszedł szukać wielkoluda, nie znalazł go, za to był świadkiem kanibalizmu. Ross, który towarzyszył tacie - ale musiał czekać przy drodze, jakby ktoś z reszty brygady wrócił - słysząc żmijowaty syk i pobiegł w jego stronę. Baar leżał z pustymi oczodołami, z których wydobywał się dym, jakby spalono mu gałki oczne, a ciało z ulotnioną już duszą leżało wysuszone na wiór. Pozbawione krwi do ostatniej kropli. Zauważył sprawcę odwróconego plecami, śmiejącego się nad w pół zjedzonymi zwłokami poszukiwanego mężczyzny. Ross chciał się na niego rzucić ze łzami w oczach ze wściekłości, ale postać zniknęła – za sprawą dziwnych czarów.

Poprzysiągłem zemstę, że znajdę i zabije to coś, co opisał Ross… ale dziadek powiedział, że zemsta rodzi tylko zemstę. Obiecałem mu, że w takim razie chcę chociaż pójść w ślady ojca, w duchu pragnąłem nadal zemsty, kiedy tylko mogłem chodziłem na mury do wujka - został nim Ross, gdy zobowiązał się nam pomagać po stracie. Szkolił mnie na Księdza, pomógł mi bardziej panować nad mocą. Rozumiał mnie w zupełności, sam wołał o pomstę do wszystkich bogów, jakich znał, aby kara dosięgła zabójcę. Minęły jednakże lata, a sprawa do dziś nie została wyjaśniona.   
Myślę, że ten ktoś, kto zabił tatę, jest wmieszany w powstanie klątwy, dlatego też o tym wspominam. Dowiem się wszystkiego, muszę tylko dostać się do oddziałów specjalnych wysyłanych na górę. Życzcie mi powodzenia

Póki co, muszę iść i pomóc kopać kolejny tunel, zanim Cerbery zwrócą mi uwagę, że siedzę i nic nie robię. Do zobaczenia.

**ANTY-INOVIS**

Historia powstania tutejszych podziemi nie jest nam do końca znana, według mnie tylko szaleniec kopałby tunele pod wyspą, ale podobno całe Inovis osadzone jest na szczycie jakiejś wielgachnej góry, która została zatopiona tysiące, a może i miliony, lat temu przez Matkę Wód. Spokojnie, wiec można było kopać ile dusza zapragnie. Ogólnie nie były to takie zwykłe tunele, wszystko zapoczątkowała potężna, podziemna jaskinia, w której aktualnie mieszkamy. Bez problemu pomieściła wszystkich. Od niej idą te wszystkie rozwidlenia, w których wyszukuje się wszelakich minerałów. Jaskinia jak jaskinia – mnóstwo kamieni i wilgoci osadzającej się na nich. Jednak tutaj jest tak tylko u góry. Na poziomie mieszkań wszystko zostało zrobione tak, jakby było to miasto na zewnątrz. Wykafelkowane dróżki prowadzące tu i ówdzie. Ściany ozdobione mozaikowo jak w świątyniach. Wyrzeźbieni bogowie, jakby mieli zaraz z tych ścian wyjść. Każda z figur była wysokości dwupiętrowych izdebek, więc były widoczne z bardzo daleka. Nad budynkami, bardzo wysoko przy prawie samym sklepieniu w wyszczerbionych mniejszych jaskiniach, mieszkali strażnicy poruszając się miedzy sobą po półkach skalnych i łączących je lnianych mostach. Tam właśnie było wyjście. Pilnie strzeżone przez Cerbery.

Podziemny świat jest zupełnie inny od tego u góry. Promienie słoneczne zostały zastąpione wielkimi słojami, wypełnionymi przez moc Księży, która jest doskonałym odpowiednikiem Matki Słońca. Trudno dostępne miejsca oświetlone zostały licznymi świecami albo pojemnikami ze świetlikami. W gruncie rzeczy panuje wszędzie półmrok, niezależnie od pory dnia. Całe podziemie jest skupiskiem prowizorycznych domów ulepionych z gliny i głazów. Tym, którym się poszczęściło, wystarczyło, że odnowią zrujnowane budowle po tych, Którzy byli przed nami. Myślę, że to całkiem przyjemne dla oka budynki, mające w sobie sporo przestrzeni, więc bez problemu pomieściły wielodzietne rodziny. Zostały zrobione z jakiegoś dziwnego, bardzo twardego materiału. Wygląda jak zwykła skała wapienna, ale pozory mylą – jest twardsza od stali, którą dzierży się podczas wojny. Do ich skompletowania użyto naszych nadzwyczaj ludzkich materiałów, które tylko obrzydzają będące obok, piękne, mozaikowe wzory, mimo tak wielu ubytków – są bardziej zapierające dech w piersiach niż niejedno dzieło stworzone przez np. takiego Neda de Varis. Ów malarz jest najwybitniejszym w całym Inovis, być może i dalej, ale nigdy dotąd nie widziałem, aby ktoś z takim oddaniem - jak nasi przodkowie - pokazał świat takim, jaki jest. Nic nie wyglądało jak obrazki, wręcz przeciwnie, jak żywe twory. Przechodząc obok, zawsze myślę, że przedstawione postaci mnie obserwują. Wodzą za mną martwym wzrokiem…

Pomimo Starszyzny, podziemie rządzi się własnymi zasadami – prawami dżungli - w tym przypadku ‘’ulicy’’. Nie brak tu złodziei, morderców i gwałcicieli. Niby jak u góry, ale tutaj tego jest o wiele więcej, a Cerbery wolą zagrać w karty przy kuflu piwa, niż ścigać obłąkanych (według nich) ludzi…

Tęsknię za życiem tam na zewnątrz. Za naszym pięknym królestwem oddzielonym od reszty świata - Morzem Skargi wymywającym bezlitośnie klify z prawej i Morzem Pokoju z lewej, łagodnie wpływającym do zatoki portowej. Dokładnie po środku naszej wyspy biegnie Rzeka Zgody, która łączy te obie wielkie wody. Morze Skargi, z tego co pamiętam, ma barwę głębokiego indygo, które pochłonęło w swoje zagadkowe czeluści niejeden statek, żeglujący w nasze strony. Natomiast Morze Pokoju jest zupełnym przeciwieństwem swojego sąsiada, nawet sztormy w tej przejrzystej niczym szkło wodzie przebiegały nader spokojnie. Inovis – nigdzie nie znajdzie się drugiego miejsca, mającego w sobie tyle majestatu, co legendarne perłowe smoki, czy konie o skrzydłach ptaka. Rzeka Zgody tak naprawdę, za pomocą Rzeki Arradis i Rzeki Zirridis, przecina wyspę na 4 części. W dwóch częściach na północy znajdują się potężne góry, ostre jak tysiące mieczy wzniesionych ku chwale Ojca wszystkich Ojców - mieszkającego wśród pierzy, które porozrzucał po niebie Ojciec Sen. Góry opatulone zostały przez pokryte śniegiem wiecznie martwe lasy, które idąc w głąb lądu, przechodzą łagodnie w coraz to bardziej, soczyście zielone rzędy liściastych strażników. Zwierzyny mieliśmy – nie wiem czy nadal tak jest - pod dostatkiem. Nie brakło jej przez mięsożerców, takich jak wilki, ponieważ udało nam się je wytresować tak samo, jak nasze psy. Południe wyspy jest pełne wielobarwnych polan, bogatych we wszelkiego rodzaju kwiecie – to jadalne i to mniej. Nie nauczyłem się zielarstwa w praktyce tak, jak powinien to robić każdy, kto chce zdać egzamin na Księdza… ale za to nauczyłem się z księgi co i jak, więc myślę, że przyrządzenie eliksiru przy komisji – tak na oko - nie będzie aż tak problematyczne, mam nadzieję.

Wracając do rzeczywistości…

To ponure podziemne życie przytłacza mnie coraz bardziej, ale jak tylko dostanę się, gdzie trzeba, to ponownie ujrzę to, o czym śnie co noc… i być może odnajdę brata. Coś mi mówi, że żyje i nie zamienił się w to „coś”. Dostałem list od Starszyzny. Mam się stawić za tydzień na egzamin. Biorę się do pracy. Ktoś musi tu zrobić krok do przodu – w stronę Inovis.

## WILCZA BIBLIOTEKA

Jak zwykle codziennie spędzam wolny czas między książkami. Jestem samoukiem, według innych może mi być trudno dostać się przez to na wyższe stanowisko u Księży, ponieważ tam liczy się to, u kogo brano lekcje. Ja uważam jednak, że bycie samoukiem to zaleta. Nic lepiej nie przygotuje do egzaminu, jak nauka na błędach- bynajmniej ta myśl trzyma mnie przy pozytywnym przebiegu testu.   
Dzisiaj wybrałem się do biblioteki, w której jeszcze nie byłem – o dziwo, bo zwiedziłem takich miejsc wiele. W podziemiu nie widziałem wcześniej tego budynku – jeszcze dziwniejsze, bo mimo tworzenia ciągle nowych tuneli, znałem każdy zakątek. Jest to wielka chata zrobiona z dziwnego, białego kamienia, ma może 3 piętra, mające po dwa smukłe okna zasłonięte szczelnie purpurowymi szmatami – trudno stwierdzić czy 3, czy 4 bo może ma jeszcze strych. Stropodach jest dość wysoko wybudowany od okna ostatniej kondygnacji. Drzwi ma mocarne, grube, pewnie zrobione z dębu, oznaczone setką stalowych zdobień, uformowanych w jakby wychodzące na ulice zastygłe liście. Gdy złapałem za klamkę, poczułem dziwny dreszcz, coś przebiegło po moim ciele. Przypuszczałem, że w środku czeka mnie o wiele więcej niż sterta zakurzonych tomiszczy, starszych od samej Starszyzny. Miałem racje. W środku siedziała kobieta opatulona wielką kolorową chustą. Gdy się do mnie odwróciła, wlepiła we mnie wielkie, zielone jak dwa szmaragdy oczy skryte za wachlarzem gęstych rzęs. Twarz miała młodą, dziką… intrygującą. Blada cera uwydatniała zaróżowienia na jej policzkach i drobnym nosie. Odgarniając swoje bujne fioletowe loki odezwała się słodkim jak dźwięki harfy głosem:

- Wiedziałam, że w końcu tu przyjdziesz wybrańcze.

- Wybra…co? Chyba z kimś mnie mylisz.. – w tej samej chwili zauważyłem u jej boku srebrzystą wilczyce, która biorąc przykład ze swojej pani, wbiła we mnie obojętny wzrok.

- Ty jesteś tym, który nas wyzwoli od klątwy, który pozbędzie się Starszyzny – ciągnęła dalej, wcale mnie nie słuchała.

- Starszyzny? Przecież oni nie są źli. Co ty pleciesz? – Podstęp, pomyślałem.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. To nie jest podstęp, nikt cię nie pojmie za brak posłuszeństwa wobec władzy. – Czyta mi w myślach. Kim ona jest?!

- Nazywam się Nama, a to Saphira. Witam cię Lilithcie w domu, który możesz uznać śmiało za swój.

- Skąd znasz moje imię? Znamy się? Jakoś cię nie kojarzę. Znam tu każdego. Jesteś nowa? Zauważyłbym kogoś takiego jak ty…

- Nie znamy się …to znaczy – ja znam ciebie, a ty mnie nie. Twój dziadek chciał, abym cię odnalazła, ale wystarczyło poczekać aż sam przyjdziesz. -Usta zakrzywiła w lekkim uśmiechu.   
Co za dziwna kobieta? Spojrzałem na nią z ukosa, trochę niepewnie i podejrzliwie. Nie ufałem jej. Oczywiście z czasem to się zmieniło. Wytłumaczyła, że dziad Ernest nim skonał, poprosił ją, aby mnie odnalazła w celu kontynuacji nauki na wojownika, a dom, w którym się znajdowaliśmy, wyczarowała sobie ot tak, bo nie lubiła poprzedniego lokum. Kobiety…

Jak się okazało – to Alchemiczka. Jakżeby inaczej – uświadomiły mi to wytatuowane runy na jej dłoniach i stopach, ale z początku nie byłem pewny, czy dobrze myślę. Ciekawe, czy jest jedną z tych, które zwano Adeptkami. Miano Adepta miały osoby zdolne do stworzenia Kamienia Filozoficznego. Kamień ten w różnych postaciach - bo istniał również jako proszek podobny do saletry - w zależności od koloru miał różne zastosowania. Zielony leczył wszelkie dolegliwości, biały transmutował rzeczy, zwierzęta, ludzi, czerwony najbardziej pożądany sprawiał, że człowiek zdobywał nieśmiertelność. Wyjaśniła mi również, że ma swoje podejrzenia co do tego czerwonego i mistycznego surowca. Otóż rzekomo starszyzna poszukiwała dla siebie wiecznego życia, wykopując te niezliczone tunele. Fakt – to dość dziwne, że wykopywano ich tak wiele, bo mieszkańców bardziej ubywało niż przybywało. Jednakże, to tylko domysły. Nie mogę myśleć tak powierzchownie. Musze się sam przekonać o tym, co knują i czy naprawdę klątwa to ich sprawa, a nie tylko królewskiego czarnoksiężnika. Podejrzane również było to, że Królewski Namiestnik Hlodgar, zniknął tego samego dnia, gdy umarł król – a mógłby przecież przejąć władzę. Ktoś widział, jak schodzi razem z nami tutaj pod ziemie – to wykluczam, ponieważ rozsądek mówi mi, że Królewski Namiestnik nie siedziałby cicho i wziąłby sprawy w swoje ręce. Chyba, że Starszyzna zmusiła go do rezygnacji. Są również tacy, którzy sądzą, że został pożarty lub co gorsza przeistoczył się w jedną z tych dziwnych bestii, które postanowiłem nazwać tak jak większość osób – Wampirami. Chociaż jest to zupełnie inny gatunek wampira. Ten opisany w bestiariuszu po prostu wysysa ze swoich ofiar krew i zostaje z nich wyschnięte do cna jałowe truchło. Te tutaj, nie tylko wysysają krew, ale i pochłaniają ludzkie dusze, jakby to był zwykły haust wciąganego powietrza, następnie podgryzają je co nieco, a porzucone ciało w ciągu kilku minut zaczyna jawić się żywym ogniem. Na samą myśl o tym przechodzą mnie dreszcze obrzydzenia, jak od dźwięku przejeżdżanych po kamiennym murze grabi.

Wracając do niezwykłej bibliotekarki i jej towarzyszki, uważam, że nauczyła mnie naprawdę wiele. Dostałem w swoje ręce księgi alchemiczne Mistrza Donatella z Ertinadis, a nawet i samego Arcymaga Vasseryna Brodookiego. Zwał się tak, ponieważ po wypiciu 3 antałków piwa, kazał sobie wytatuować oko na brodzie, aby wiedziano że nawet jeśli ma kaptur założony po sam nos, widzi doskonale wszystko i wszystkich. Podobno umiał nim mrugać. Nie wiem, czy rzeczywiście oko było sprawne, licho wie tych Arcymagów i ich sztuczki, którymi potrafią omamić niejednego. Moim zdaniem mógł być tak gruby, że podbródkiem przy pochylaniu głowy zakrywał fałdem tłuszczu tatuaż.

Przynajmniej pisał mądrze o przydatnych znakach runicznych. Nama powiedziała, że mnie ich nauczy, to zabawne, że wystarczy do nich jedynie odpowiednio ustawionych palców dłoni i zjednoczenie się co do ich znaczenia umysłowo. W tych starszych znakach runicznych, o których uczył mnie wuj Ross, trzeba było użyć czegoś - najlepiej kredy lub krwi - do nakreślenia ich w pionie lub poziomie. Dodatkowo długie w starszej mowie zaklęcia. Jestem pewien, że niejeden Ksiądz, czy mag, zginął podczas walki nim zdążył zrobić cokolwiek. Ja nie będę jednym z poległych.

Zanim poszedłem na egzamin - bo miałem okrągły tydzień, przed dniem, w który kazano mi przyjść - uczyłem się rzetelnie znaków, zaklęć, sposobów przyrządzania dziwnych mikstur, o których wcześniej nie słyszałem. Na przykład – Łękotka, co to w ogóle za nazwa? Ma wiele zastosowań. Oczywiście przeciwko wrogim jednostkom. Eliksir ten sprawiał, że polany nim człowiek ślepł na około minutę, a widzieć miał przed sobą jedynie czarny dym i swoje najgorsze mary nocne, ponieważ Łękotka zrobiona jest ze składników, które działają halucynogennie. To nie była jej jedyna zaleta. Gdy ktoś się jej napije, nie czuje bólu nawet gdy odetną mu kończynę. Zabawne prawda? Z początku myślałem, że to zaleta, ale Nama uświadomiła mi, że nie dość, iż nie czujemy jak się wykrwawiamy, to latamy po polu jak trafieni piorunem przez Ojca Burz.

Dzień przed pójściem do Starszyzny umiałem już naprawdę wiele.

- Ha! Teraz to mi mogą podskoczyć. – Rzuciłem zachwycony po teście mojej młodej nauczycielki. – Niech no tylko zobaczą, co potrafię. Szczeny opadną tym zrzędom do samego Ojca Ziemi! – Wziąłem się łapczywie za podane jadło i popiłem gorzkim winem.

- Nie tak szybko. Nie możesz im pokazać wszystkiego, co potrafisz. Pokaż im to, co potrafią też inni. Nie możemy ryzykować… nie teraz. Bądź cierpliwy.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem... Przecież przygotowałaś mnie do egzaminu wstępnego.

- Przygotowałam cię do walki z nimi. Chcesz, by pozbyli się ciebie? Będziesz dla nich niebezpieczeństwem, a oni likwidują to, co zagraża ich życiu, choć minimalnie.

- No dobra – burknąłem posłusznie, wpatrzony jak wilczyca gryzie kawał udźca z dzika.- Ale tylko dlatego, że ich działalność również mi się nie podoba. Będę tak normalny, że aż nie będą mogli wyjść z podziwu, jaka ze mnie pospolita papuga.

- Cudownie – zaśmiała się sucho jak pustynny piasek wpadający wściekle w oczodoły, a Saphira wyszczerzyła na mnie jakby w uśmiechu paszcze. – Zjesz i masz się wymyć porządnie. Cuchniesz jak stado baranów.

- To twoja zasługa – wstałem leniwie, dopiero wtedy poczułem jak boli mnie każda partia ciała. – Jak nie wstanę przez ciebie na jutro…

- To co? Wykolesz mi oczy i rzucisz na pożarcie Saphi? – Jej śmiech był jak ostre sztylety tnące z łatwością wszystko, co napotkają na swojej drodze.

-…nie kuś – powiedziałem prawie szeptem i poszedłem na piętro wąskimi, skrzypiącymi pod ciężarem ciała drewnianymi stopniami i zaraz po przyjemnej, długiej kąpieli we wrzątku pomaszerowałem do łóżka. To miejsce było o niebo lepsze od mojej klitki nad knajpką Eduarda – biedak żegnał mnie pół dnia, błagając, abym go odwiedzał, kiedy tylko znajdę wolny czas. Obiecałem mu to i obietnicy dotrzymam. Wrócę jako Ksiądz.

Na drugi dzień miałem iście bolesną pobudkę, którą zaoferowała mi Saphira, sugerując, że koniecznie muszę powitać podłogę twarzą w twarz.

**NA GÓRĘ PO ZWYCIĘSTWO!**

- Na Bogów, jakie to wielkie – powiedziałem do siebie, stojąc przed wejściem do siedziby Starszyzny. To chyba największe drzewo, jakie kiedykolwiek widziałem, nigdy nie podchodziłem tak blisko i sądziłem, że to tylko imitacja drzewa, okazało się być jednak inaczej. Gruby konar jest jak jedna wielka spirala pnąca się bezwstydnie ku sklepieniu, które trzyma na swojej bujnej, zielonej czuprynie. Drzwi do fortecy nie ma, wszedłem, mijając stojących obok strażników w czarnych zbrojach z herbem naszej wyspy przymocowanym na klacie. Mamy w godle rycerza, przed którym rozstępują się oba morza, jest to symbol Rzeki Zgody, dzięki której, urodzajna ziemia nigdy nie uschnie. Obaj iście ponurzy mężczyźni spojrzeli na mnie z tak wielką pogardą, że myślałem, iż zaraz spluną mi prosto w twarz co najmniej dwa razy i spytają, po co przywiało tu błazna. Ale poprosili tylko grzecznie o list, który dostałem od Starszyzny i wpuścili mnie do środka, uprzednio sprawdzając, czy pieczęć jest prawdziwa. Wnętrze rozjaśnione licznymi świecami przymocowanymi na stalowych planszach do ścian drzewa wypełnione jest wbrew wszelkiej logice setką kwiatów o krwawym kolorze. Znam je doskonale – jedne z najbardziej zachwycających według mnie roślin – lycoris. Pamiętam je z ogródka dziadka, mówił mi, że to ulubione kwiaty mamy. Nic dziwnego, eleganckie, specyficzne dzięki swojemu unikatowemu kształtowi - wybuchających jakby ze środka tysiącami czerwonych paseczków - i słodkie, ale nie nurzące w zapachu, przyciągnęłyby niejednego. Taki podarunek jest idealny dla kobiety, może wychodząc urwę dwie, dla Namy i Spahi. Chyba nikt się nie obrazi, jest ich tutaj tak wiele.

Kapłan z parteru powiedział mi, że mężczyźni przybyli na egzamin, muszą się udać na sam szczyt. W tym momencie coś we mnie pękło. Spojrzałem niechętnie na kręte schody bez poręczy i przełknąłem ślinę, czując jak ból po treningu, który zapewniła mi nauczycielka, wraca prędko i nasila się z każdą chwilą.

- Raz kozie śmierć… - powiedziałem do siebie, bo starzec miał gdzieś setne w tym dniu marudzenie, sam pewnie pokonywał te schody więcej niż raz na dzień. Wchodziłem z początku powoli, stopień po stopniu, ale gdy zdawało mi się to trwać godzinami, po nabraniu wprawy wchodziłem po trzy schodki na raz. Pod koniec w żółwim tempie dotarłem gdzie trzeba. Nama zabiłaby mnie za to lenistwo i kazała wejść jeszcze raz, tylko że biegiem z opaską na oczach. Jak dobrze, że jej ze mną nie było.

Rozejrzałem się po piętrze, okrągły korytarz zionął pustkami. Jakie to dziwne – nikt nie szykuje się na przyjęcie do środka? A może już czekają? Oby nie wyszło na to, że się spóźniłem – pomyślałem. Jednak szybko rozwiałem wątpliwości i pukając grzecznie do wielkich czerwonych drzwi, ozdobionych pozłacanymi ornamentami, wszedłem zaproszony gromowym głosem.

Na sali nie było nikogo, prócz 4 mężczyzn w podeszłym wieku, siedzących przy długim marmurowym stole. Każdemu z nich włosy pouciekały z głowy, formując długie szpiczaste, siwe brody. Żaden z nich niczym się nie różnił, prócz powstałych z wiekiem zmarszczek na twarzy. Wyglądali bardzo niepokojąco, że to tak ujmę – ich grobowe miny wypełniły pomieszczenie ponurym nastrojem. Nie przejąłem się tym zbytnio i gdy podszedłem dość blisko, przyklęknąłem na jedno kolano i zniżyłem głowę, aby wiedzieli, że darzę ich szacunkiem.

- Powstań chłopcze. – Powiedział jeden z nich po chwili. Zrobiłem jak zechciał i wyprostowałem się.

- Lilith Amey czyż nie?

- Tak panie. Do usług.

- Znałem twojego ojca, był jednym z najlepszych wśród Czyścicieli i nie tylko. Wspaniały wojownik. Moje kondolencje.

- Dziękuje, również ubolewam nad stratą mimo upływu lat, ale myślę, że Ten, który pilnuje wiecznego snu, wysłał go w spokojne miejsce. – Ledwo powstrzymałem się od śmiechu. Rozmawiający przede mną starzec, gdy mówił, skakał krzaczastymi brwiami jakby miał tam pchły.

- Zobaczymy czy będziesz równie dobry jak twój ojciec. – Dodał drugi – temu natomiast drgała prawa powieka jakby ktoś ciągle mu opluwał oko.

- Jestem gotów. Od czego mam zacząć? – Zapytałem, starając się nie zdejmować powagi z twarzy i z głosu.  
- Masz tutaj stolik z różnymi składnikami chłopcze. Chcemy, byś przyrządził nam mocne serum prawdy, którego kropla sprawi, że na dobę osoba, której zostanie to podane nie będzie w stanie skłamać.

- Tylko tyle? – Potrafiłem zrobić eliksir, którego kropla mogła przytrzymać efekt nawet przez tydzień, a oni chcieli tylko dzień - drobnostka. Spojrzałem na przygotowane stanowisko i przyjrzałem się dokładnie składnikom.

- Chwila. Jak chcecie, abym je przyrządził, skoro nie ma tu bławatka?

- Doskonale, zdane przyrządzanie eliksirów.

- Słucham? – Nie ukrywałem zdumienia. Przecież to tak ważny egzamin. Należało pokazać jak się co robi. Eliksiry to jeden z najważniejszych elementów ekwipunku Księży.

- Ochotnicy przed tobą w większości nie zwrócili uwagi na jego brak i próbowali robić serum bez niego. Myśleli, że jest inny sposób.

-Bo jest, ale passiflory również tu nie ma. – Przyglądałem im się szparkami oczu.

- Znakomicie… - powiedzieli jeden po drugim jakby wybąkując to słowo echem między sobą, notowali coś na pergaminie orlimi piórami.

- A teraz chłopcze, przyzwij tu ducha smoka, jakiego tylko chcesz. – Rozkazał pierwszy z lewej starzec grubym, jakby tłumionym w krtan,i głosem.

Skinąłem w odpowiedzi i gdy już chciałem wykonać znak pokazany przez Name, szybko się opamiętałem i sięgnąłem po leżącą obok kredę. Patrzyłem na nią chwilę i odstawiłem na miejsce. Zdziwili się.

- Chłopcze. Masz przyzwać smoka. – Zmarszczył swoje skoczne brwi ten środkowy.

- Tak wiem, ale nie zrobię tego za pomocą kredy, każdy wie, że najlepsze duchy przyzywa się za pomocą krwi. – Wyciągnąłem z kieszeni sztylet należący niegdyś do ojca. Miał piękną rękojeść zakończoną łbem spokojnego wilka, którego oczy były zastąpione dwoma kamieniami koloru moich tęczówek. Rozciąłem sobie nim mocno opuszki palca środkowego i wskazującego prawej dłoni. Mówiąc długie zaklęcie, zacząłem nakreślać krąg własną krwią. W środku umieściłem symbol ognia otoczony pasami tworzącymi tetragrammaton, między którego rogami zapisałem cztery litery oznaczające w starszej mowie Nefrytowego Smoka. Narysowane linie zaczęły świecić na zielono, idąc coraz wyżej, wtedy przykucnąłem po środku, trzymając ręce e centrum okręgu. Wraz z kończącym się zaklęciem buchnęła fala gorąca jakby ktoś przed chwilą rzucił alkohol do ogniska i tuż za mną pojawił się ogromny, skrzydlaty jaszczur, który wyglądał jak zrobiony z zagwieżdżonego nieba okonturowanego mocną, błękitną linią – był to Nefrytowy Smok, którego niestety już się nigdzie nie spotka. Dzikie plemiona zamieszkałe przed nami na wyspie – Arstandysi pozabijali je wszystkie dla mięsa i dla pięknych łusek, które smok nosił z dumą. Zaryczał przeraźliwie na siedzącą komisję, ale stał spokojnie. Kontrolowałem go w zupełności. Ważna była jedność z duchem stworzenia, którego się przyzywało.

Czwórka mędrców patrzyła bez jakiegokolwiek wyrazu twarzy na mój wyczyn. Czyżby się nie udało? To za mało dla nich? Chcą czegoś więcej? Tutaj również jak się okazało popełniłem błąd, myśląc w ten płytki sposób, zapewne dlatego, że przypływ adrenaliny walczył o kolejną dawkę. Krew, magia – pragnąłem pokazać im całą potęgę, jaką posiadałem, a to był zaledwie początek. Skarciłem się szybko w myślach. – Wszyscy wstali, ja również wstałem, ukrywając zmęczenie dniem poprzednim i dzisiejszym – błagam nie każcie mi znowu wchodzić na te przeklęte schody. Miejmy już to z głowy.

- Lilithcie Amey. – Zagrzmieli razem jak chór Tego, który zrzucał dusze zmarłych do nicości. – Przeszedłeś pomyślnie pierwsze próby – zauważył ten, który wcześniej mówił tylko z resztą. – Pokazałeś, że magia wyższego stopnia nie jest dla ciebie żadnym wysiłkiem. – Dodał ten od latającej powieki. –…a teraz zmierzysz się z Romualdem w walce na miecze. Odeślij smoka z powrotem. – Usiedli.

- Tak jest… - spojrzałem na smoka za sobą – Odejdź mój przyjacielu, dziękuję że przybyłeś na moje wezwanie – ukłoniłem mu się przysadziście, a on skinąwszy łbem, ulotnił się wraz z nakreślonym wcześniej znakiem.

- Romualdzie! – Na sali pojawiła się wielka kupa mięcha, ubrana w zbyt małą jak na nią zbroje z czarnej stali. Rycerz ręce miał wielkie jak dwa kowadła, a tors mógł spokojnie służyć za drzwi. Pewnie to on pozbył się większości kandydatów. Zakładam, że walka ta jest na śmierć i życie, skoro nie podano mi drewnianego miecza, a taki z najprawdziwszej białej stali. Osiłek wyglądał znajomo, ale jednak nikogo w nim nie poznałem. Może to syn kowala, którego ojciec odwiedzał. Czułem, że tej próby nie przejdę tak łatwo…

**BEZLITOŚNI KŁAMCY**

Walka, jak to walka, w końcu musiał zacząć albo on albo ja. Wujek Ross mówił: „Zawsze atakuj pierwszy, nawet jeśli czujesz strach, nie okazuj go”. Wziąłem to sobie do serca. Zaszarżowałem na niego, zaciskając mocno szczęki. Musiałem się mocno zamachnąć, aby cios był przez niego odczuwalny. Wielkolud nie zdążył się zasłonić mieczem albo wcale nie chciał, bo wysunął przed siebie ramie, jakby wiedział, że chcę go uderzyć w te okolice. Zęby zadzwoniły mi zaraz po natrafieniu ostrza na zbroje. Odskoczyłem szybko i przeciwnik rozciął jedynie powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą stałem. Jak dla mnie ślimaczył się niemiłosiernie. Kolejne ciosy wymienialiśmy między sobą wręcz monotonnie i za każdym razem było to zetknięcie się ze sobą mieczy. Obie bronie zrobione były identycznie. Pewnie po to, aby nie było, że ktoś oszukuje. Odsunąłem się na parę kroków, by złapać oddech, jednak nie był z niego wcale taki ślimaczek. Kiedy chciał, potrafił momentami gonić mnie sztychem jak osa żądłem. Romuald również potrzebował chwili odpoczynku. Jednakże, kiedy chciał wziąć głębszy wdech, pobiegłem w jego stronę z ostrzem skierowanym za siebie, w momencie gdy miał mnie trafić mieczem z góry, zmieniłem pozycje na kolana. Sunąłem po posadzce tuż pod nim jak żmija wijąca się po ziemi, unosząc miecz nad sobą, przejechałem nim miedzy jego rozkraczonymi nogami. Wstałem będąc za nim. Był w szoku jak i reszta, bo mimo wzrostu zmieściłem się pod dryblasem bez problemu. Zawył z bólu i zgiął się w pół, trzymając się za krwawiące krocze. Już myślałem, że mam zwycięstwo w garści, ale nim się zdążyłem odsunąć na bezpieczną odległość, zamachnął się na mnie wściekły - atak za atakiem. Był jak rozjuszony byk przez czerwoną płachtę, miał za krótkie ramię i zdążył mi rozciąć jedynie policzek. Byłem coraz bliżej ściany, upadłem, potykając się o własne nogi. Siedziałem, opierając ścianę, ale udało mi się przeturlać na bok i uchronić przed potężnym ciosem wymierzonym w moją głowę. Miecz ze świstem przeleciał obok mego ucha i utknął w drewnianej ścianie. Ugrzązł głęboko, bo nawet ten osiłek miał trudność go wyciągnąć. Przypomniało mi się wtedy, że wujek mówił również, o tym jak największe drzewa upadają najgłośniej. Miał rację. Kiedy udało mi się wstać, rozplatałem mu od tyłu szyję - jedyną część ciała, której nie chronił pancerz. Rycerz upadł na podłogę broczą we własnej krwi. Po dłuższej chwili przestał się ruszać i patrzył gdzieś w dal, wybałuszając oczy.

Udało się, zabiłem go. W prawdzie nieładnie jest zabijać, nie patrząc wrogowi prosto w oczy, ale na polu bitwy nie ma zasad. Zrobi się wszystko, aby przeżyć. Tak więc uczyniłem – przeżyłem.

Podszedłem do stołu Starszyzny, która w dalszym ciągu zajmowała się wypełnianiem sali niepokojem. Przyklęknąłem i wyciągnąłem miecz przed siebie, pochylając głowę w dół.

- Wyjdź proszę, musimy się naradzić. Zawołamy cię do środka, jak już wszystko zostanie uzgodnione – powiedział obojętnie krzaczasto-brwiowy i wskazał mi wzrokiem drzwi. – Weź ten miecz, jest już twój. – Dodał, odchodząc z resztą od stołu. Stanęli sobie w dalszym zakątku sali, a ja posłusznie wyszedłem.

Na bogów – zabiłem człowieka. Naprawdę to zrobiłem, tymi oto rękoma. Nie wiedziałem czy mam się cieszyć, czy ubolewać nad stratą wspaniałego wojownika, jakim mógł być dryblas. Rozejrzałem się po okrągłym korytarzu. Były tam jakieś odchylone nieco drzwi. Ja, jak to ja - wielce ciekawski całe życie – postanowiłem tam zajrzeć. Nie wierzyłem własnym oczom. W środku znajdowała się sterta trupów, to na 100% byli ci, którzy chcieli zostać Księżmi. Ubrani byli w czerń, uzbrojeni tak samo, ale bez oznak życia. Co tu jest grane? Co zrobią z ciałami? Powinni je spalić wśród ich bliskich, jakąś uroczystość zorganizować dla upamiętnienia zmarłych, a nie kłaść ich jeden na drugim jak świnie na rzeź. Popatrzyłem dokładnie na pomieszczenie, było jakieś dziwne, pełne fiolek, chyba z próbkami krwi. Wszedłem niepewnie i popatrzyłem na półki. Widniały tam nazwiska ludzi, których znałem i tych, których mógłbym poznać. Ciekawe po co im to…

W chwili zastanowienia zauważyłem przyrządy do destylacji. Oddzielali coś z tej krwi, ale niby co? Jeszcze raz przeleciałem wzrokiem po fiolkach. Wziąłem jedną, akurat ta nie była czerwona, była biała. Postanowiłem ją zabrać, wraz z jedną próbką krwi. Chyba nie zauważą. Nawet jeśli to zaryzykuje. Ta substancja wygląda mi na Biały Kamień Filozoficzny, który stopiono w ciecz. Niech mnie piorun strzeli, czy dobrze myślę? Te całe bestie, to jedno wielkie kłamstwo? Klątwa się ich nie tyczy? Więc dlaczego Matka Słońce została nam odebrana? Tylko klątwy mają tak wielką moc. Sięgnąłem po książkę leżącą na stole, okazało się, że był to dziennik prowadzonych badań na ludziach. Sprawdzano jak i na co reagują Wampirze twory. Przydatne. Nie mogłem jednak ryzykować wykryciem. Wyszedłem szybko nim ktokolwiek się zorientuje, że wszedłem gdzie nie trzeba.

Pozostawiony własnym myślom, czekałem na korytarzu aż zechcą mnie do siebie przyjąć. Trwało to dość długo. W tym czasie przeleciałbym się po krętych schodach w te i z powrotem, minimalnie dwa razy. Czekałem jednak grzecznie i gdy nadszedł czas, pojawiłem się ponownie przed obliczem egzaminatorów. Teraz rozumiałem, jak bardzo Nama miała racje co do ich knowań. Nie potrafiłem na nich spojrzeć już przychylnym okiem. Kryłem jednak w sobie złość i niepokój do nich.

- Postanowiliśmy, że dostaniesz tytuł Księdza już teraz. Nastały ciężkie czasy drogie dziecko i potrzebujemy takich jak ty. Podejdź.

Podszedłem, a starzec z chorym okiem nasunął mi na palec wskazujący srebrny pierścień z wizerunkiem wilka trzymającego sztylet w pysku i kazał mi rozpiąć koszulę. Dwóch strażników podeszło i złapało mnie mocno w zgięciach rąk, bym się nie szarpał. Czwarty milczący egzaminator przytkał mi do klatki piersiowej rozgrzany do czerwoności, stalowy pręt, na którego końcu przymocowana była pieczęć z tym samym obrazkiem jak na pierścieniu. Syknąłem z bólu i zacisnąłem mocno pięści, wbijając we wnętrza dłoni krótkie paznokcie. Gdy przestałem się napinać, dwaj mężczyźni puścili mnie i wrócili na swoje miejsce.

- Od teraz zwiesz się wśród Księży Zuthors-Vin. – Nakreślił koło na moim czole i pionową linie na oku, gdzie nie miałem blizny, bordową krwią z misy, która wyglądała jak odcięta górna część czaszki człowieka. – Ekwipunek dostaniesz od kapłana na dole. Pilnuj się, niedługo przyślemy po ciebie, abyś udał się na powierzchnię z innym.

Przytaknąłem w podzięce i odszedłem milcząc. Nareszcie dowiem się prawdy o klątwie, czego dokładnie dotyczy i wyjawię światu sekret, który Starszyzna kryje przed wszystkimi.

**POCZĄTEK KOŃCA**

Wróciłem do biblioteki z nowym imieniem Zuthors-Vin, w starszej mowie oznaczało Cień Szakala. Okaże się, czy faktycznie pasuje do takiego szakala. Nama czekała na mnie niecierpliwie, widząc oznakowania na mojej twarzy, uśmiechnęła się dumna, a wilczyca zaraz skoczyła na mnie, aby się przywitać. Powaliła mnie od razu, zaśmiałem się, gdy lizała mnie po twarzy jak każdy potulny pies. Zabawne jak potężny myśliwy może być taki przyjazny. Dobrze jest mieć po swojej stronie tak mocnych sojuszników jak one dwie.

- Mam coś dla was moje drogie panie. – Wyciągnąłem z sakiewki przy boku dwa kwiaty, Saphi swój wzięła od razu do pyska i poszła usadowić się w swoim łożu, kwiatek położyła przed sobą i wpatrywała się w niego ciekawsko. Nareszcie mogłem wstać, otrzepałem się z kurzu i podszedłem do Namy, wpiąłem kwiat w jej rozpuszczone włosy. Loki pięknie opadały kaskadą na jej ramiona.

- Ależ z ciebie romantyk Lilithcie. – Zmierzwiła mi włosy i przysiadła z powrotem do księgi.

- Wiem, że masz przy sobie coś jeszcze. Co to?

- Nie mylisz się. Mam tu dwie podejrzane fiolki. Po konsystencji i braku zapachu uważam, że ta biała to stop Kamienia Filozoficznego, który odpowiada za transmutacje ludzi. – Podałem jej oba naczynia i przyglądałem się jak sprawdza ich zawartość, czerwoną bez wahania posmakowała palcem, a odrobinę białej wlała do roślinki w doniczce, która po chwili zmieniła barwę na czarną, a korzenie urosły tak, że gliniane naczynie popękało, bez wątpienia był to Biały Kamień Filozoficzny.

- Mogę się założyć, że użyli go po to, aby wybudzić w ludziach Wampiry. Sama mówiłaś, że prócz transmutacji, odpowiednio przygotowany, jest w stanie sięgnąć głęboko w człowieka i odkryć jego prawdziwe pochodzenia. Zamienieni ludzie byli właśnie tymi, którzy pochodzi od Wampirów z bestiariuszy, ale dzięki temu zmutowali i potrafią wchłaniać dusze. Tylko… jak to się stało? Jak zdołali w jednym czasie zamienić tych wszystkich ludzi? – Usiadłem przed nią zaniepokojony odkryciem.

- Pamiętasz mgłę, która uniosła się podczas zasłonięcia nieba przez chmury? To nie była mgła. Jakimś cudem udało im się wprowadzić Kamień filozoficzny w gaz.

- Na bogów… i po co im to wszystko?

- Jak już wiesz, szukają sposobu do zdobycia wiecznego życia, które dane jest tylko bogom. Bawią się, eksperymentują, aby podwładni byli posłuszni tylko i wyłącznie im. Jak myślisz, dlaczego właśnie oni przeżyli ryzykując, że sami mogli się przemienić? Ktoś im w tym pomógł i według moich analiz był to ten Arcymag Yling, stojący za rzekomą klątwą. Zapanował nad umysłami przemienionych, rozkazał im słuchać staruchów. Musimy dostać się na powierzchnie i zobaczyć jak faktycznie tam jest. Jakoś nie wierzę w to, że nikt tam nie atakuje tych, którzy wychodzą. – Trzasnęła pięścią w stół.

- Właśnie sobie uświadomiłem, co stało się w takim razie z Królewskim Namiestnikiem. Tylko mam pytanie. Orientujesz się może, czy zszedł z nami tutaj?

- Owszem. Zszedł tutaj, ale zapewne dowiedział się o wszystkim i natychmiast został uciszony w jedyny bezpieczny sposób.

- A niech mnie gęś kopnie… to wszystko ma sens. Wszystko zaczęło się od incydentu, w którym brał udział mój ojciec. – Wstałem zszokowany tym, co właśnie Ojciec Światłego rozumowania mi pokazał. – Skoro znasz dziadka Ernesta, wiesz zapewne jak zginął mój ojciec. Starano się wyciszyć sprawę, ale my jako rodzina wiedzieliśmy prawdę.

- Tak, widzę do czego zmierzasz. – Wpatrywała się we mnie skupiona. Oczy wilczycy wodziły za mną, gdy chodziłem w tę i tamtą jak poparzony.

- Ta postać, która zabiła tatę, wyssała życie z woźnicy… to był Yling. Zmówił się ze Starszyzną, aby posiąść razem z nimi władzę. Wmówił im, że pomoże w odkryciu sekretu wieczności, a oni desperacko połknęli przynętę!

- Mocno się zdziwią, gdy już górnicy znajdą to, czego tak ta piątka szuka. Yling wyjdzie z ukrycia i zabierze co jego. Nie możemy do tego dopuścić. To będzie koniec wszystkiego. – Wstała

- Mój drogi przyjacielu, pora na prawdziwą lekcję. Nie dam ci spokoju do dnia wyjścia na zewnątrz. Musisz być gotowy na wszystko. Musisz przygotować się na walkę z tą podłą kreaturą i rozwiać mgłę z oczu tych czterech głupców nim będzie za późno. – Mówiąc to, pociągnęła mnie za sobą do działu ksiąg, które kryły w sobie potężną magię, trudną do okiełznania. Wiedziałem jednak i wiem to nadal, że muszę zrobić wszystko, aby uratować świat przed czymś gorszym od zagłady spisanej w Księdze Przepowiedni.

Tylko czy mi się uda? Nie mogę być zbyt pewny siebie, bo duma zaślepia każdego i każdy wielki wojownik przez to zginął. Nie mogę też zbytnio w siebie zwątpić, bo braknie mi sił na walkę.   
Wszystko co dobre i łatwe kiedyś się kończy. Pora zacząć zmagać się z o wiele trudniejszą czynnością. Śmierć zaprosiła mnie do tańca. To czy ja będę prowadzić, czy ona – zależy tylko i wyłącznie ode mnie i od przychylności bogów.

**WRÓG CZY PRZYJACIEL?**

Nadszedł ten dzień, kiedy wyszedłem na zewnątrz. Sam, bo nie przydzielili mi nikogo więcej do wyprawy. Czyżby inni Księża mieli ciekawsze zajęcie? Jakoś nie było ich widać na ulicach w podziemiu. Ciekawe, co robili. Nie widziałem ani jednego. Może ich też się pozbyli? Cóż kiedyś się dowiem. Teraz musiałem wyjść. Otworzyłem właz, niesamowite uczucie. Poczułem pierwszy raz od dawna świeże powietrze. Aż chce się żyć. Tylko szkoda, że nie ma Matki Słońce, nadal tęskni i rozpacza nad brakiem widoku na jej ziemskie dzieci. Zamknąłem za sobą wieko i rozejrzałem się. Było pusto. Ani jednej osoby. Znalazłem się na polu daleko za murami miasta.

Spojrzałem w stronę zamku. Biło z niego dziwne, jasne światło. Z samego szczytu, gdzie znajdowała się komnata Wielkiego Króla. To był cel mojej wyprawy. W takim razie co sił w nogach pobiegłem wpierw do rodzinnego domu. Znajdował się bardzo blisko mnie. Zaskakujące, że nadal był tam koń, którego podarował mi wuj Ross na 14 urodziny. Wcale nie był taki zaniedbany, ktoś go doglądał i karmił. Złapałem za rękojeść sztyletu przy pasie. Będąc na miejscu nie chciałem ryzykować wykryciem, gdyby ktoś tu był i nie przywitałem się z klaczą. Ginger była zawsze porywcza. Wszedłem cichaczem do domu. Ktoś był w kuchni, bo słyszałem jak miesza w garnku strawę drewnianą łychą. Najciszej jak tylko potrafiłem wtargnąłem do jadalni. Przy palenisku stał mężczyzna w krótkich czarnych włosach. Już chciałem się na niego rzucić, gdy się odwrócił. Zrobił wielkie oczy, tak samo ja. Tym mężczyzną okazał się być mój młodszy brat. Diavolo wyrósł, ale nadal był mniejszy ode mnie. Twarz pozostała bez jakiegokolwiek śladu dorosłości, nadal był pyzaty i słodki, z tymi jego wielkimi, brązowymi oczami, które teraz szkliły się wpatrzone we mnie.

- L..Lilith, ty żyjesz! Wiedziałem! – Upuścił misę z zupą i wyciągnął do mnie ręce. Cofnąłem się i wymierzyłem w niego sztyletem. Wystraszył się, nigdy nie lubił drogi wojownika, był typowym molem książkowym.

- Odsuń się, nie bez powodu tutaj jesteś. Tłumacz się, o co w tym wszystkim chodzi. Co tu się wyprawia?

- U-usiądź braciszku. Wszystko ci opowiem. – Zasiedliśmy przy stole, miałem w pogotowiu broń. Dia, powstrzymując ciągły płacz, starał się wszystko wyjaśnić. Zdradził mi, że są normalni, gdy nikt od nas nie wychodzi do nich, a gdy wysyłają ludzi po prowiant, z zamku biegnie fala wrogiego dymu, który budzi w nich rządzę krwi i pojawia się zakapturzony osobnik, który mówi, że jeżeli nie postarają się zabić przybyłych ludzi, on pozbędzie się ich w bardzo powolny i bolesny sposób. Bojąc się o to, że zginą w masowym mordzie, uciekają się do ‘’mniejszego zła’’ i pozbywają tych, których wyznaczy.

- Aha! Więc muszę udać się do zamku, zabrać to coś, co wam pomaga zabijać i będziecie normalni. Tylko, że trzeba zdążyć nim przyjdzie ten pajac i każe wam mnie zabić… oczywiście nie udałoby się to, ponieważ jestem w stanie sobie już z wami poradzić… ale nie chce zabijać niewinnych ludzi. Ten osobnik to Yling, bynajmniej tak podpowiada mi rozum. Trzeba go zabić. On chce…

- Tak wiem – przerwał mi – opowiadał nam to wiele razy. Jak pozbędzie się swoich kukiełek po odegraniu ich ról i przejmie władzę nad wszystkimi krainami. On…powiedział, że wysuszy oba morza, aby połączyć ze sobą lądy. Lil… proszę, ja nie chce umierać, nie chce żebyś ty umierał! – Rozpłakał się.

- Uspokój się! – Wrzasnąłem na niego i trzasnąłem sztyletem w stół, wbijając go między listwy drewna. – Biorę konia i jadę tam.

- Nie możesz tam tak po prostu jechać! W mieście są uwięzieni ci, którym ten dym zaszkodził na tyle, że nie potrafią się wybudzić z szału i potrafią zabijać siebie nawzajem.

- Dzięki, że mówisz mi to teraz, kiedy zaplanowałem szczegóły. – Burknąłem niezadowolony – plan poszedł się chędożyć…

- Czekaj, wysłuchaj mnie do końca. Pozwól mi jechać z sobą. Pomogę ci się tam dostać w bezpieczny sposób. Pamiętasz, jak byłem dość długi czas giermkiem jednego z rycerzy gwardii królewskiej? Bawiłem się z księciem często w chowanego i poznałem dzięki niemu tajemne przejścia pod zamkiem. Idą one przez kanały pod całym miastem. Wiem, którędy się dostaniemy, nikt o nich nie wie.

- Mów od razu, a nie rozwiewasz moje wszelkie nadzieje! – Wstałem i schowałem sztylet.

- Dobra. Pora jechać. Chodź tu jestem ci coś winien, na pewno się bałeś, będąc tu zupełnie sam. – Wyciągnąłem do niego niepewnie ręce, ryzykowałem tym, że mnie zaatakuje. W jednej chwili wtulił się we mnie mocno i zaczął szlochać. Poczułem się znów jak nastolatek, który co noc musiał tulić swojego strachliwego braciszka, bo miał koszmary.

- Już dobrze Dia…wszystko wróci do normy. Obiecuje.

- Wiem o tym, ty jesteś naszym wybawcą. – Spojrzał na mnie zadzierając głowę do góry.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś stworzony do wielkich celów jak tata – wyszeptał drżącym głosem i wycierając oczy poszarpanymi rękawkami, odsunął się ode mnie niechętnie.

Pojechaliśmy na Ginger lasem, aby nie zdradzić swojej pozycji tym bestiom za murami. Biedna klacz musiała zostać. Nie chciałem przywiązywać jej do drzewa, bo ktoś mógłby ją zauważyć i zabić. Wiedziałem, że albo poczeka aż wrócimy, albo wróci bezpiecznie do domu. Znała drogę doskonale. Diavolo upewnił się, że nikogo nie ma i otwierając wejście w murze do ścieków, gestem ręki kazał mi do siebie przybiec. Wszedłem do kanałów i chciałem zapalić ogień na dłoni, by lepiej wszystko widzieć, ale Dia ostrzegł mnie po chwili, że gaz, który unosi się tutaj jest łatwopalny. Szliśmy po ciemku, tak więc wspomogłem się chociaż eliksirem, dzięki któremu trochę lepiej widziałem w ciemnościach. Braciszek radził sobie doskonale. Wyostrzyły mu się wszystkie zmysły po przebudzeniu we krwi Wampira. Szliśmy wieloma krętymi ścieżkami, to w górę, to w dół, przez wąskie szczeliny i tak szerokie, że mogłyby służyć za pomieszczenie dla 4 osobowej rodziny. Dotarliśmy - po długim zmaganiu się z brudem i smrodem – do zamku. Weszliśmy do środka przez, jak się okazało, kanały w łaźni. Tam Dia odkrył kolejne przejście między ścianami, którym mogliśmy się przedrzeć prawie na sam szczyt zamku. Ogromne ułatwienie, jak dobrze, że poszedłem najpierw do domu i go spotkałem. Kto by pomyślał, że taki z niego sprytny lis?

- Tutaj muszę cię zostawić, gdy Arcymag przybędzie, nie chce cię zabić, bo byś się pewnie na mnie rzucił.

- Nie rzucę się, rzuciłbym się już dawno, gdybym tylko cie wyczuł, ale ciebie nie czuć, jakbyś nie istniał… może ty nie jesteś człowiekiem? - Zasugerował – może jesteś jednym z nas? Ale w takim razie, dlaczego u ciebie się to nie uaktywniło?

- Daj spokój, wymyślasz. Idź i sobie czekaj grzecznie na mnie, a ja zrobię swoje. Tak w ogóle to dlaczego nikt tutaj nie wchodzi?

- Boimy się… boimy się gniewu tego pana…- przyznał zawstydzony, wbijając wzrok w podłogę.

- Może i lepiej, nikt mi nie będzie przeszkadzać… no już sio. – Wyganiałem go, bo wolałem działać sam.

- Nie, nie ruszę się bez ciebie!

- Co za uparciuch…- westchnąłem poirytowany jego zachowaniem. - …dobrze, chodź ze mną, ale w razie potrzeby krzycz.

Uśmiechnął się szeroko od ucha do ucha i poszliśmy razem przez salę tronową do sypialni Wielkiego Króla. Drzwi były zamknięte, nie na klucz, nie zabite dechami, chroniło je zaklęcie. Silne zaklęcie. Ktoś nie chciał, aby tam wchodzono. Wybadałem podejrzane pole otaczające drzwi wzrokiem i postanowiłem, że nie będę się cackać w czary mary z kombinowaniem na otworzenie przeklętych wrót, które gdy się użyje złego zaklęcia, wyślą mnie do innego wymiaru. Wykonałem znak ręką, którego nauczyła mnie Nama i uderzając w ścianę zrobiłem dziurę na wylot. Jakie to było proste, pewnie Yling nie spodziewał się, że ktoś tak potrafi. Szybko wszedłem do komnaty, a tuż za mną Diavolo. Na stojaku spoczywał wielki pomarańczowy kamień, otoczony magicznym polem.

- Oto i on… Kamień Filozoficzny, tylko że jakiś… zmodyfikowany. Może to on jest artefaktem, który trzyma klątwę wiecznej ciemności i na dodatek pomaga rozwiać gaz Białego Kamienia Filozoficznego na was? – Poszedłem i myślałem, jak pozbyć się pola. Zniszczenie klątwy było tak blisko…

**DOBRO I TAK ZWYCIĘŻA… PRAWDA?**

Do sali przybył zakapturzony mężczyzna. Ten sam, który zabił naszego ojca, ten sam, który odpowiada za śmierć Wielkiego Króla, Namiestnika i zapewne lista jego ofiar była dłuższa niż mogłoby mi się zdawać. Był chuderlawy, a z ust, wyszczerzonych do nas jak u psa ze wścieklizną, ciekła czarna maź. Bez wątpienia osobnik ten bawił się w niebezpieczną grę z czarną magią.

- No, no, a kogóż my tutaj mamy? – Zapytał jakby pijanym, wesołym głosem, siorbnął mazią i podchodził powoli w moją stronę – synalek Baara.

- Synalek, który uwolni twoją pustą głowę od tego paskudnego cielska! – Zagroziłem mu i nie miałem zamiaru się cofnąć. Byłem gotów użyć jakiegoś znaku przeciwko niemu. – To już twój koniec Ylingu.

- Yling? Yling nie żyje… zabiłem – wycedził przez czarne jak smoła zęby i zachichotał grubiańsko. – Nie poznajesz mnie? Syneczku? Nie poznajesz…- odsłonił kaptur, tego się nie spodziewałem. - …własnego króla?

- Poznałbym gdybyś się tak nie zapuścił – zachowałem pokerową twarz. Nie mogłem sobie pozwolić na emocje w takiej chwili, choć walił mi się świat pod nogami i wszystko przestawało mieć sens, trwałem jak solidny mur. – Wytłumacz mi tylko, po co to wszystko? Miałeś koronę…

- Nadal ją mam – zaczął kręcić złotą tiarą na palcu – chce być nieśmiertelny, chcę być wszechpotężny! Klękną przede mną wszyscy królowie! Jedynym właściwym będę tylko ja! Będę żył wiecznie! – Zarechotał złowieszczo i założył koronę, na długie, glizdowate, czarne włosy. To już nie był ten sam wspaniały władca, to była jego marna kopia, której władza uderzyła do głowy.

- Wybacz, ale nie podzielam tego sposobu myślenia, przyszedłem cię zabić i odzyskać wolność naszemu kraju.

- Walczyć powiadasz sssyneczku? – Obrzydliwy uśmiech cały czas malował się na bladej twarzy Azazela. Paskudna strzyga.

- Zamiast tak stać i gadać może byś wziął się za coś ciekawszego? – rzuciłem w niego kulą ognia, ale prędko ją odbił w sufit, był szybki, o wiele szybszy niż się spodziewałem.

- Nigdy ci się nie uda syneczku mnie pokonać, jestem najpotężniejszy na świecie! – Wyciągnął rękę przed siebie i z rękawa wyskoczyły mu czarne macki, które ciągnęły się w moją stronę, zrobiłem szybko kolejny znak i osłoniłem brata oraz siebie. Owinęły się całkowicie wokół osłony. Nagle spomiędzy nich, przez tarcze, przeszedł król ze spokojem. Nie wiem, jakim cudem to zrobił, ale było to przerażające. Jak walczyć z kimś takim? Wtedy pomyślałem, co sprawi, że go pokonam. ,,Słowa są jak oręż, odpowiednio użyte, potrafią zdziałać więcej niż nie jedna bitwa’’ – tak mawiał dziad Ernest.   
Zaczął mnie dusić, Dia stał bezradnie. Pole, które stworzyłem zniknęło. Odrzucił brata na bok czarnymi biczami.

- Myślisz smarku, że mnie pokonasz? Ty? Zwykłe wiejskie dziecko, które nauczyło się paru magicznych sztuczek? Żałosne – napluł mi prosto w twarz dziwną mazią.

- Co z ciebie za król, który gnębi własnych poddanych? – Wycedziłem z trudem – Wstydziłbyś się.

Zrzedła mu mina. Sine wargi zadrżały w nerwowym uśmiechu, rzucił mnie w kąt i sprawił, że pole wokół magicznego artefaktu zniknęło. Złapał za trzymający go podest i skierował w moją stronę. Bardzo na to liczyłem.

- Jak śmiesz tak się do mnie zwracać? Zaraz ci pokażę, jaki jestem potężny! Nie oprzesz się mojej mocy. – Wyciągnął kamień wyżej.

-Twojej? Czy tego kamienia? – Zakpiłem z niego. Trafiłem w sedno.

- Co ty wygadujesz. Ten kamień, to ja. To Ja go stworzyłem !

- Ależ oczywiście ,,wasza wysokości’’. Łącząc ze sobą tylko dwa inne potężne surowce. Bez nich jesteś nikim. – Wstałem z trudem.

- Wpoiłem w nie całą swoją moc, to one beze mnie są bezużyteczne.

- Ach tak? – W tym samym czasie wystrzeliła ku mnie cienka stróżka światła. Szybko wyciągnąłem z kieszeni inny kamień i zacząłem pochłaniać idącą ku mnie moc. Gdy chciał przestać, zorientował się, że nie może się ruszyć.

- Co?! Co się dzieje! – wykrzyczał, nie rozumiejąc tej sytuacji. – Co ty mi zrobiłeś!?

- Ja? Nic. To ty jesteś winien takiego końca. Twoja klątwa zostaje wchłonięta, o tutaj. – Gdy cała moc z niego uszła, upadł na kolana bezradny i jeszcze chudszy niż wcześniej. Pokazałem mu diament. Najzwyklejszy w świecie diament. – tylko to, co najczystsze jest w stanie pochłonąć cały brud.- Uśmiechnąłem się do niego, a zza chmur zerknęła na mój wyczyn Matka Słońce.

Myślałem, że to już koniec, ale wtem zjawili się niespodziewani goście. Starszyzna wywęszyła, co jest grane. Nie mam pojęcia, jakim cudem, ale dobrze, że się zjawili.

- To nie tak miało być! – Zaprotestował jeden z nich. – Coś ty narobił!? Miałeś zginąć.

- Zamknijcie się! – Azazel resztkami sił wystrzelił w nich zabójcze macki, które przebiły cztery krtanie na wylot. Nie zdążyłem zareagować, padli jak muchy. – Zaraz zginiesz ty… - wstawał już na drżących nogach, ale postanowiłem nie czekać i wbiłem mu ostrze prosto w czubek głowy.

- Człowiek często pragnie tego, co nieosiągalne i nie widzi błędów, które popełnia. Mimo zdobycia tego, co chciało się mieć, osoba podąża do zguby. W twoim przypadku zaślepienie dumą nie pozwoliło ci na zabicie mnie od razu, jak innych. W skutku – ja zabiłem ciebie i odebrałem ci to, czego tak bardzo strzegłeś. – Przekręciłem sztylet i wyjąłem go, a wraz z pociągnięciem za rękojeść, wyzionął ducha.

**NOWY ŁAD**

Wszystko wróciło do normy, a ludzie do swoich domów i bliskich, z którymi zostali rozdzieleni. Klątwa wiecznej ciemności została zdjęta, fałszywe dobro zniszczone, prawdziwy wróg zabity. Pozostała tylko jedna kwestia. Kto przejmie tron?

Przed włazem do podziemi spotkałem się z Namą, wyściskała mnie mocno i powiedziała, jak jest ze mnie dumna. Bez ceregieli, głośno i przy wszystkich mówiła:

- Oto wasz wybawca! Dzięki niemu możemy powrócić do poprzedniego życia i cieszyć się dniem, nie musimy się bać o własne życie i o to, że już nigdy nie zobaczymy Matki Słońca. Oto nasz Król!

Zatkało mnie, czy ona powiedziała król? Uniosła koronę wysoko, aby każdy mógł ją widzieć, a tłum jak na zawołanie padł na kolana w moją stronę, razem z nimi Diavolo, a nawet i wuj Ross, który jak się okazało był wśród Wampirów.

- Ja? Ale..

- Żadnych ale, nie jesteś za młody, królami bywają 8-latki. Nadajesz się idealnie, tylko potrzebujesz kogoś na swoją prawą rękę. Kogo wskażesz?

- Wuj… to znaczy się… Ross Kynis. Wybieram go na swojego Namiestnika, a ciebie Namo... proszę o trwanie przy mym boku jako moja Mistrzyni. – Pochyliłem się ku niej, a ona z uśmiechem nałożyła mi koronę na głowę.

Od teraz to ja sprawuję władzę jako Wielki Król, rozsławiony w balladach bardów i opowieściach rozsyłanych przez kapitanów statków jako Pogromca Burz. Jak zawsze pieśni musiały być mocno przekoloryzowane. Nikomu to jednak nie przeszkadzało i wędrowcy, wierząc w moją potęgę, przybywali z wielu krain, abym udzielił im audiencji i przyjął piękne dary. Nigdy bym nie pomyślał, że bogowie przygotują dla mnie taką rolę do odebrania. Z początku nie wiedziałem nic o królowaniu, jednak szybko nauczyłem się, jak być kochającym i kochanym przez wszystkich królem. ,,O szlachetności człowieka nie świadczy szacunek, jaki okazują mu wielce bogaci i wysoko urodzeni szlachcice, a poważanie, jakim darzy on osoby o niższym stanie’’ – tak powiedział mi Ross, to naprawdę znakomity doradca. Uczy mnie estetyki i zasad, jakich powinien trzymać się król. Są pewne granice między wolnością a bezkarnością. Nie mogłem dopuścić do tego, aby lud zbytnio się rozleniwił lub niezadowolony wszczynał buntu. Całe szczęście, że mieszkańcy Inovis są bardzo wyrozumiali dla nowego króla. Za co jestem im dozgonnie wdzięczny.

Chciałem tylko czynić dobro jak ojciec. Widać starczą chęci, determinacja w dążeniu do celu i przyjaciele, którzy zawsze wiedzą, jak cię przygotować na najgorsze i trwają przy tobie w zgodzie oraz niezgodzie do samego końca.